

Piątkowy wieczór (7.04.17) w Narodowym Forum Muzycznym był bardzo ciekawy. Składały się na niego dwa utwory – jeden bardzo istotny dla muzyki XX wieku, drugi zaś zupełnie nowy – była to prapremiera *Assisi* – koncertu na wiolonczelę, chór dziecięcy i orkiestrę Grażyny Pstrokońskiej-Nawratil (*1947), zamówionego przez NFM.

Wykonawcami byli orkiestra NFM Filharmonia Wrocławska prowadzona przez znakomitego dyrygenta Marka Mosia, którego cenię za świetnie interpretacje współczesnej klasycznej muzyki polskiej z jego orkiestrą AUKSO. Marek Moś ma swój własny image – pojawia się z chustą na głowie, przez co kojarzy mi się z korsarzem muzyki nowej. Jego AUKSO to orkiestra kameralna Miasta Tychy, zespół odnajdujący się wraz ze swoim dyrygentem i dyrektorem w najbardziej niezwykłych sytuacjach, na jakie narażają orkiestry współcześni kompozytorzy (czasem jednak warto się narażać).

Pierwszym utworem tego wieczoru była Błękitna Rapsodia Georga Gershwina, dzieło w którym sławny Amerykanin z powodzeniem połączył estetykę muzyki amerykańskiej, w tym przede wszystkim jazzu i bluesa z wymogami muzyki klasycznej. Charakterystyczne glissanda instrumentów dętych otwierające ten pełen przepyszego witalizmu utwór stały się jedną z ikon naszej współczesnej kultury, o ile oczywiście wypada używać słowa „ikona” na sekwencję dźwięków. Co ciekawe, Gershwin cenił ogromnie człowiek znajdujący się w jego czasach na antypodach muzycznej estetyki, czyli Arnold Schoenberg, który z wiadomych przyczyn musiał opuścić nazistowskie Niemcy i żyć w USA.

Tym razem wykonawcą partii fortepianowej rapsodii był jeden z najbardziej znanych jazzmanów, Polak Leszek Możdżer. Zagrał swoją partię z ogromną wyobraźnią, odbiegając w stronę improwizacji od zapisanego materiału, najmocniej oczywiście w kadencji znajdującej się w połowie rapsodii. Te improwizacje Możdzera stanowiły pewnego rodzaju zderzenie estetyczne, zwłaszcza w zakresie rytmiki, ale było to celowe i bardzo ciekawe. Dźwięk pianisty był znakomity, choć niepotrzebnie

wzmocnił on dźwiękiem z głośników dźwięk fortepianu. Było to zapewne pomyślane pod kątem dwóch znakomitych, rozbudowanych bisów, stanowiących w zasadzie drugą połowę występu Możdzera.



Wrocławscy filharmonicy pod batutą Mosia grali rewelacyjnie. Imponowali mocnym, dynamicznym dźwiękiem, zaś blacha nie zawiodła w swoich trudnych i posługujących się momentami

estetyką jazzową partiach. Moś prowadził zespół bardzo dynamicznie, ale też elegancko. Miało się wrażenie, że ma w rękach kulę ognia.

Podejście Moźdżera do Błękitnej rapsodii też było bardzo interesujące. Słychać było, że jest to interpretacja przemyślana, wyławiająca z utworu Gershwina czysty jazz, jak i będąca niejako jego wcieleniem współczesnym, zmienionym o to wszystko, czego w naszych czasach doświadczamy. Piękne były uderzenia staccato Moźdżera w wysokich tonach, różne eksperymenty fakturalne etc. Sama kadencja była piękną, rozbudowaną i wielowątkową improwizacją. Wadą było trochę fałszywych nut w uderzaniu obszernych akordów forte, które u Gershwina anonsują część wejść fortepianu.

Na bis Moźdżer zagrał dwa utwory. Pierwszy z nich była to improwizacja na fortepian nie niosąca już w sobie zbyt wielu cech charakterystycznych dla jazzu i przypominająca podejściem (ale nie melodyką czy stylem) metafizyczne improwizacje na fortepian solo Keitha Jarreta.

Moźdżer w pierwszym utworze na bis oparł na ostinato przypominającym mi nieco muzykę malijskiej kory improwizowaną melodię kojarzącą się z nowym muzycznym romantyzmem, a także trochę z co bardziej melodyjnymi utworami amerykańskich minimalistów. Artysta cały swój występ był na bosaka i witał się po indyjsku ze złożonymi po indyjsku dłońmi. Aby wykonać pierwszy bis użył woreczka, z którego wydobyl kilka przedmiotów i położył go na struny fortepianu, w ten sposób go preparując. Dzięki temu podobne do malijskiej harfy ostinato brzmiało rzeczywiście jak harfa, zaś melodia i wariacje na jej temat urozmaicone były swego rodzaju dźwiękiem cichych czyneli. Ta improwizacja była bardzo poetycka i głęboka – lubię taki jazz – nie jazz i stąd skojarzenie z Jarretem.

Drugi bis był już nieco bardziej jazzowy w melodyce i lżejszy w charakterze. Moźdżer pod koniec improwizacji dodał do nich elegancko główny motyw melodyczny granej wcześniej Błękitnej

rapsodii i było to bardzo udane zamknięcie pierwszej części koncertu.

W drugiej części koncertu mieliśmy okazję wysłuchać prapremiery *Assisi* – koncertu na wiolonczelę, chór dziecięcy i orkiestrę Grażyny Pstrokońskiej-Nawratil. Do orkiestry dołączył chór dziecięcy złożony z chórzystów Chóru Chłopięcego NFM i Chóru „Con Brio” SM I st. im. G. Bacewicz we Wrocławiu. Dołączył też oczywiście wiolonczelista w postaci Andrzeja Bauera, muzyka zaangażowanego i wielokrotnie nagradzanego.



Utwór *Assisi* składa się z trzech części – *Lewitacji*, *Grawitacji* i *Transitusa*. Poświęcony jest on św. Franciszkowi z Asyżu, do aspektu sakralnego odnoszą się chóry w trzeciej części. Grażyna Pstrokońska-Nawratil należy do grona najbardziej cenionych kompozytorów polskich. Urodziła się we Wrocławiu, od tego czasu skomponowała wiele dzieł, noszących często poetyckie tytuły.

Assisi od początku ujął mnie konsekwencją formy i bardzo

ciekawymi efektami fakturalnymi i brzmieniowymi orkiestry. Lewitacja kojarzyła mi się z unoszącymi się kroplami wody, z deszczem padającym do góry. Wiolonczela budowała ten nastrój poprzez finezyjne glissanda, zaś w orkiestrze dominowały dźwięki harfy i smyczków kojarzące się z lecącą w górę kroplą wody, która w każdej chwili może rozprysnąć. Piękno brzmieniowe tej części stawia ją wśród bardzo udanych przejawów muzyki klasycznej naszych czasów.

Przejścia między częściami były bardzo płynne, więc mogę się nawet pomylić w ich rozgraniczaniu, w końcu była to prapremiera i tylko bardzo wtajemniczone osoby znają porządnie ten utwór. Ale to, co określiłbym drugą częścią, oznaczało przemianę języka muzycznego w stronę muzyki mniej medytacyjnej, a bardziej agresywnej, choć nadal ściśle zamkniętej w zamierzonej przez kompozytorkę i starannie zaplanowanej koncepcji całości. Tu pojawiło się więcej perkusji, włączyły się większe grupy orkiestry, zaś wiolonczela w rękach znakomitego Bauera szła od różnych efektów brzmieniowych uzyskiwanych przez uderzenia w różne części nagłośnionego w tej części instrumentu po wirtuozerskie elementy gry smyczkiem na strunach.

W obydwu pierwszych częściach słychać było echa dziedzictwa instrumentacji Bouleza, u którego między innymi Pstrokońska-Nawratil się kształciła. Ale były to tylko echa, gdyż język muzyczny kompozytorki jest całkowicie oryginalny. Chodzi mi tu chyba o pewnego rodzaju precyzję kolorystyczną, o dokładność niepozbawioną swobody, o zmysłowość nie odbierającą muzyce pewnego dystansu, spojrzenia z dali.

Ostatnią część, gdzie pojawiły się też chóry, związałbym z kolei z drugim mistrzem kompozytorki Messiaenem. I tu nawiązania byłyby bardzo dalekie, ale dało się słyszeć pewne ślady modalnego prowadzenia muzyki. Chóry chłopięce sprawdziły się znakomicie, cała część była najbardziej efektowna, ale też nieco mniej skomplikowana niż dwie części ją poprzedzające.

Orkiestra NFM grała znakomicie, Marek Moś używał nieco innych gestów niż w Gershwinie, mniej emocjonalnych, bardziej wymierzonych, dokładnych. Chóry chłopięce też stanęły na wysokości zadania, zaś kompozytorka ułatwiła im zadanie tworząc dla nich chorałową linię melodyczną z lekkimi tylko „zaburzeniami tonalnej perspektywy”.

Podsumowując – kolejny dobry koncert w NFM i kolejna okazja przeżycia historycznej chwili, jaką jest prapremiera udanego dzieła współczesnej kompozytorki.